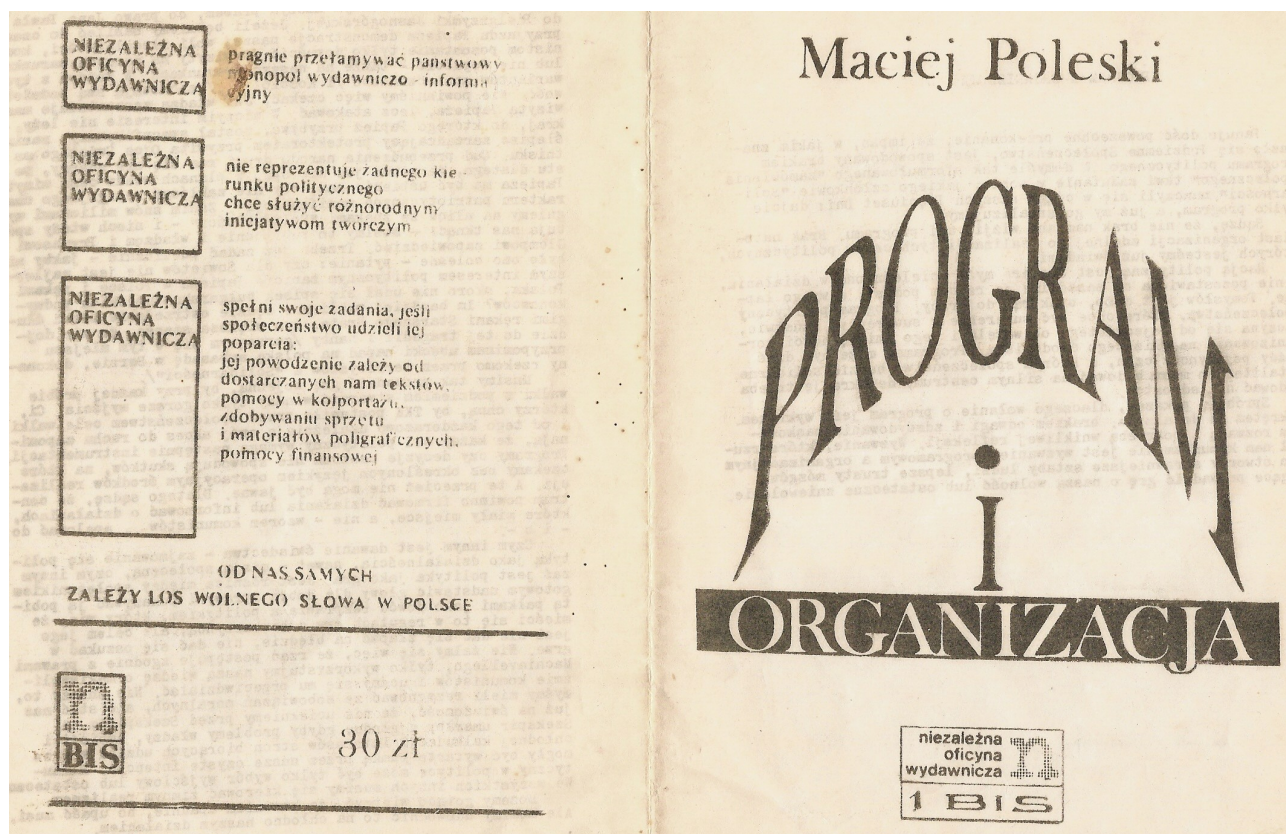


Ilustracja 22. Okładka wydruku i diapozytywy broszury Macieja Poleskiego „Program i organizacja” wydanej przez „Familię jesienią 1983 r w 1000 egzemplarzy. Broszura liczyła 14 stron formatu A-5 i była sygnowana kryptonimem „niezależna oficyna wydawnicza 1 BIS”. Oprócz diapozytywów zachowały się negatywy i wydruki broszury. Maszynopis przygotowała Teresa Celuch, obróbka fotograficzna i matryce: Bogdan Szewczyk, druk w mieszkaniu Janiny Dutkiewicz: Stanisław Głazewski i Ireneusz Ostrokowski.



Maciej Poleski

PROGRAM i

ORGANIZACJA

niezależna
oficyna
wydawnicza 
1 BIS

Panuje dość powszechne przekonanie, że impas, w jakim znalazło się Podziemne Społeczeństwo, jest spowodowany brakiem programu politycznego. W domyśle tak sformułowanego "zamówienia społecznego" tkwi zadufanie w sobie, jakiego członkowie "Solidarności" nauczyli się w ciągu naszych Pięciuset Dni: dajcie tylko program, a już my go zrealizujemy!

Sądzę, że nie brak nam ani wizji, ani programu. Brak natomiast organizacji zdolnej do realizacji tych celów politycznych, których jesteśmy już świadomi.

Racją polityczną jest dopiero myśl ucieleśniona w działaniu, a nie pozostawiona na zasadzie: ja rzucam pomysł, a wy go łapcie. Pomysłów jest dużo, brak rąk do pracy. Program polityczny społeczeństwa, które chce być suwerenne w suwerennym państwie, zaczyna się od pojedynczego obywatela i jego umiejętności zorganizowania najbliższego środowiska. Programem może być dziś każdy pojedynczy czyn, z którym społeczeństwo będzie solidarne. Totalitaryzm można budować na silnym centrum, demokrację trzeba budować na jednostce.

Spróbuję pokazać, dlaczego wołanie o program jest wykrętem. Wykrętem od działania, brakiem odwagi i zdecydowania maskowanym rozważaniem i potrzebą wnikliwej refleksji. Wyzwanie, które rzucił nam komunizm nie jest wyzwaniem programowym a organizacyjnym: kto stworzy sprawniejsze sztaby ludzi, lepsze trusty mózgów, mogące prowadzić grę o naszą wolność lub ostateczne zniewolenie.

Wizja - program - realizacja ... Wizję już mamy. Niepodległa i demokratyczna Polska jest tą wizją "ekstremy" "Solidarności", którą podziela większość społeczeństwa. Ta wizja pozwala nam odczuć się narodem a nie miazgą etniczną na przedpolu sowieckiego imperium, jak to kiedyś powiedział Mieroszewski.

Program też mamy. Chcemy niezależnie od uwarunkowań geopolitycznych budować samorządne organizacje społeczne. Są one dziś jedyną szansą autentycznego życia społecznego, a w sytuacji rewolucyjnej pozwolą z dnia na dzień zamienić fasadowe instytucje na te, które zbudujemy na tyłach.

Wiemy, że wolność jest stopniowalna, że demokracji nie można z komunistami wynegocjować, że każdy kompromis z nimi jest tylko rozejmem. W roku 80-tym nauczyliśmy się współdziałania robotników, intelektualistów i chłopów. Solidarność stała się nazwą ruchu i programu.

Po Budapeszcie i Pradze my z kolei mogliśmy się przekonać, że nie wystarczy bunt w jednym baraku, gdy obóz trwa w uśpieniu. Nie licząc na nic prócz odruchów sympatii Zachodu musimy budować solidarność krajów Europy Środkowej i Wschodniej. Musimy wypracowywać już dziś przyszły porządek europejski. To tylko kolejna hipoteza robocza, że między zjednoczonymi Niemcami a Rosją pozbawioną swych wojennych trofeów: Ukrainy, Białorusi i państw bałtyckich znajdzie się miejsce dla niepodległej Polski. Społeczeństwo przed Sierpnem było bezsilne, bo nieświadome swych celów. Społeczeństwo epoki "Solidarności" było już świadome, ale okazało się bezsilne politycznie. Dziś stoi przed nami nauka prowadzenia gry politycznej w warunkach użycia siły. Jeśli tej edukacji przez czyn społeczeństwo nie przejdzie, nasza nadzieja na nowe miejsce Polski w Europie rozsypie się jak federacyjne koncepcje Piłsudskiego. Dla wizji Piłsudskiego zabrakło bowiem i architektów i cierpliwych budowniczych. Był za to burzyciel Dmowski ze swymi ideami egoizmu narodowego i Polaka katolika, było młode państwo litewskie pełne urazów wobec Polski, były społeczności ukraińska i żydowska odpowiadająca na polską ksenofobię jeszcze większym hermetyzmem i wreszcie było samo polskie społeczeństwo tęskniące za jednością i w swojej większości uznające wobec innych tylko zasady dominacji.

Wizja - program - realizacja. Realizacja czego? Przecież tylko hipotezy roboczej, która bez naszej wiary i nadziei rozsypie się w proch programowych frazesów. Godność człowieka wolność słowa nieożywione działaniem staną się naszą "nowo-mową", nowo-mową "Solidarności". Nie o to chodzi, że dziś słowa i programy już ludzi nie porywają. Słowa i programy zawsze porywały tylko garstkę, którą DZIAŁANIEM umiała przyciągnąć do nich masy.

Co dzieli naszą wizję od programu politycznego? Wskazanie choćby najogólniej określonych środków realizacji, wskazanie, jakie cele cząstkowe wytyczają drogę do demokracji i niepodległości. Ale ponieważ program jest właśnie roboczą hipotezą, im będzie ogólniejszy, tym dłużej zachowa aktualność. A ktoś chce pisać program, który już jutro będzie przestarzały? Tak się dzieje, że programy polityczne są górą analiz która rodzi myślniki wniosków. Są owocem nieustannej spekulacji, na ile walczyć, a na ile trwać. Pytającym wciąż: "Co dalej?" odpowiedzieć można w końcu tylko sceptyczną formułą: Nawet jeśli komunizm ma zdobyć władzę nad światem, nie chcemy być po stronie zwycięzców. I ten próg opozi czysto moralnej musimy przekroczyć, by działać.

Program polityczny powstaje w sprzężeniu zwrotnym idei i organizacji. Czego nam dziś brak najbardziej: idei czy organi-

zacji? To dylemat rzeczywisty. Dzisiaj stan naszej organizacji zakreśla możliwości programowe. Jeśli nie mamy utonąć w powodzi frazesów, musimy opanować nowe środki walki, by móc stawiać sobie cele polityczne. Już słyszę: Ależ to właśnie dowód na to, że potrzebne są nowe propozycje programowe! Taki podział na program i organizację sugeruje, że intelektualisci oddają swoje maszynopisy działaczom i tak robi się politykę. Inaczej pisze się do pustej kartki papieru, inaczej do czekających na naszą pomoc tysięcy komisji zakładowych, które chcą wiedzieć JAK ZGODNIE Z PRAWEM mogą się organizować w rewindykacyjnej walce związkowej. Ten sam tekst prawnika, który tłumaczy dlaczego obecna ustawa o związkach zawodowych jest bezprawiem w świetle ratyfikowanej przez PRL konwencji MOP jest czymś innym jako manuskrypt, a czym innym jako broszura w . . . powiedzmy - 10-tysięcznym nakładzie. Myśl staje się programem dopiero wtedy, gdy istnieje organizacja gotowa ją realizować. Podstawą organizacji jest zebranie ludzi, a nie postulatów.

Jest w dzisiejszym podziemiu wiele rzeczy, które od zaraz należałoby zrobić: "Przygotować się do akcji czynnej samoobrony zakładów", "zorganizować sieć łączności w warunkach strajku generalnego", "szkolić kadry zawodowych konspiratorów", "prowadzić aktywną politykę niepodległościową wobec krajów ościennych i antagonistów naszych antagonistów" itd., itd. Nieprzypadkowo postulaty te umieszczam w cudzysłowach. Znane są nie od wczoraj. Jeśli nie umiemy zrealizować ich w konkretnych działaniach organizacyjnych, zamieniają się w intelektualne szablony, w slogany polityczne, mogące służyć tylko ambicjonalno - ideologicznej licytacji, a nie polityce wobec władzy.

Przełom, który dokonał się w sierpniu 80 był tylko fragmentem procesu. Z punktu widzenia zewnętrznych atrybutów panowania komunistów reżym się zaostriżył. Z punktu widzenia opozycji demokratycznej dokonał się skok jakościowy i ilościowy: mamy centralne kierownictwo, mamy zaczątki kadrowych organizacji niepodległościowych, mamy masowy ruch solidarności i odmowy. Niecierpliwe tupanie na ciasto, żeby szybciej rosło nic tu nie pomoże. Całe społeczeństwo przejść musi drogę stopniowego kawałek po kawałku budowania własnej podmiotowości, zbliżającego moment obalenia komunistów. Rację polityczną ma nie ten, kto głośniej krzyknie w swoim piśmie, a czyj głos będzie bardziej zrozumiały dla mas i lepiej słyszalny dzięki dobremu zorganizowaniu się.

Działalność Moczulskiego była kwintesencją myślenia o programie w próżni organizacyjnej. KPN budowano tak - napisał Leszek Żak - jakby dom budować od dachu. Nie organizowano się wokół konkretnych inicjatyw, nie tkano sieci organizacyjnej, powoływano natomiast instancje i wybierano władze. /I tak, ci, którzy stworzyli Kierownictwo Akcji Bieżącej - Okręg Lwów i nic więcej nie robiąc - zostali internowani, dokonali tylko gestu uzurpacji wobec narodu ukraińskiego/. Rezultatem takiego myślenia jest pustosłowie i mistyfikacja. Organizacja nie może jak silnik "chodzić na luzie", napędzana tylko ambitnym programem. Sens ma tylko organizowanie się w działaniu, w sprzężaniu zwrotnym celów i form organizacji. Struktura, z którą walczymy jest monstrum biurokracji, jest przykładem nierozwojowej organizacji społeczeństwa. Dlatego właśnie inna organizacja jest kluczem do naszego programu.

Zastanówmy się, na czym polega potęga państwa sowieckiego. Na programie, ideologii, czy na działaniu organizacyjnym? Sądzę, że na tym trzecim. To właśnie organizacja umożliwia przechwytywanie aspiracji wolnościowych pojawiających się w różnych krajach

świata i podporządkowywanie ich imperialnym celom Rosji. Patent "pokojuowego współistnienia" zmiksowany z "ruchami narodowo-wyzwoleńczymi", pozwala dziś nieść rewolucję na bagnietach w sposób subtelniejszy niż za Trackiego. A czym był w swoim czasie triumf bolszewików? Był też triumfem organizacji. Zgoda, bandyckiej, działającej - w ostatniej fazie - za niemieckie pieniądze, ale jednak organizacji, w swojej dynamice i adekwatności do celów sprawniejszej niż organizacja innych partii, które przeprowadziły rewolucję.

To organizacji komunistki boją się najbardziej. Jeśli chcemy ockolwiek wywalczyć, treści programu musimy rozważać równolegle z formami. Musimy zbudować organizację odpowiadającą naszym celom. To ogólniki, a zadania na dziś? Można bez trudu je wymienić: łączność, mały sabotaż, koła samokształceniowe, biblioteki, komórki wywiadu, porządkujące informacje o planach władzy, dywersja psychologiczna skierowana przeciw partii, pomoc ruchom opozycyjnym wewnątrz wojska i milicji. Sensowność każdego z tych zadań nie ulega wątpliwości. Czy nawiążemy kontakty ze społeczeństwami demoludów, które pozwolą nam budować solidarność obywatelską? Czy zbudujemy sektor prywatny i spółdzielczy w gospodarce, który z przedmiotu manipulacji stanie się środkiem nacisku na reżym i sferą samodzielności ekonomicznej dużej części społeczeństwa? Czy wojsko zdoła wyłonić elitę przywódczą zdolną paraliżować aparat przemocy w momencie kolejnej narodowej próby? Odpowiedzi na te pytania nie leżą w sferze koncepcji intelektualnych, a w sferze organizacyjnej, zależą od ludzi, od kadr. "A więc porozumienie odpada, powstanie w obecnej sytuacji byłoby szaleństwem. Co pozostaje? Bardzo dużo pracy." - napisał F.M. w nr 17 "Kierunków".

Przyjrzyjmy się spokojnie i bez emocji naszej ostatniej wielkiej przegranej. 13 grudnia 1981 r. był zaskoczeniem dla "Solidarności", mimo że Komisja Krajowa miesiącami otwarcie rozważała problem, co zrobić w wypadku wprowadzenia stanu wyjątkowego. Ba, przyjęła nawet uchwałę o automatycznym podjęciu strajku generalnego w momencie ataku na nasz Związek. A więc program samoobrony był. Nie było organizacji. Władze 10-milionowego Związku mogły zostać, jak w kwiecie lat stalinowskich, wyaresztowane w jedną noc i nie było drugiego garnituru, awaryjnych punktów kontaktowych, ani żadnych alternatywnych środków łączności. To znaczy, że gdy organizacja jest fikcją, program jest tylko marzeniem. Co więcej, program taki nie działa profilaktycznie, odstrasza, a przeciwnie - zachęca do agresji.

SILA

Dziesięć milionów świadomych obywateli miało przed oczyma wizję niepodległej i demokratycznej Polski i program polityczny uchwalony przez I Krajowy Zjazd Delegatów "Solidarności". 13 grudnia wszystko zawaliło się jak domek z kart. Czy to znaczy, że wizja i program były utopijne? Nie! Utopijna była natomiast koncepcja organizacyjna: obnoszenie się z jawnością i wyrzeczeniem użycia siły. Fakt, że totalniacy - jak kiedyś nazwał komunistów Tyrmand - walczą o pokój wzywając innych do rozbrojenia nie znaczy, że trzeba czy można samemu się rozbrajać.

Nasz Związek został zniszczony siłą, my wyrzekliśmy się użycia siły. W płaszczyźnie moralnej może się to wydawać budujące. W płaszczyźnie politycznej organizacja niezdolna do samoobrony, zdolna tylko do moralnych potępień prowokuje do łatwego zwycięstwa na nią.

W konfrontacji z Rosją trzeba rzucić na szalę coś więcej

niż narodowe sentymenty. Tu trzeba właśnie siły. Siły militarnej: trzeba odzyskać zatem własną armię, by służyła obronie granic Polski, a nie - obronie partii i interesów imperium sowieckiego. Siły politycznej: trzeba umocnić suwerenność społeczeństwa doskonaląc organizację podziemia. Siły ekonomicznej: trzeba wygrywać kryzys gospodarczy dla społeczeństwa budując struktury gospodarczej samowystarczalności, mogące przerastać państwową ruinę.

Siła powstaje drogą treningu, walki, stawiania sobie konkretnych, choćby niewielkich zadań. Nie czekajmy i nie bądźmy cierpliwi. Organizujmy się w działaniu. Ale prowadźmy akcje na miarę posiadanych środków. W pół roku, w rok nie wyzwolimy w polskim wojsku żadnej znaczącej patriotycznej siły, która mogłaby odstraszyć władze przed użyciem armii przeciw narodowi. Tu dopiero czas będzie pracował dla nas. Krążące w wojsku pismo "Reduta" świadczy o tym, że status okupanta własnego kraju zmobilizował zwycięzców w tej wojnie do rozpoczęcia antytotitarnej edukacji.

W czasie agresji na Czechosłowację w 1968 roku wielu młodych Polaków mówiło lekceważąco o narodzie Szwejków, który nie przeciwstawił się bratnim armiom. Los udzielił nam lekcji pokory: my też nie ruszyliśmy z gołymi pięściami na czołgi. Czechom wyrzucaliśmy, że ich armia nie wystąpiła w obronie społeczeństwa. I tu los dał nam lekcję pokory: polscy żołnierze wystąpili przeciwko polskiemu społeczeństwu.

Dumne podkreślanie, że "Solidarność" nie stosuje przemocy, to tylko słowna pułapka, w którą wpadła nasza myśl. "Solidarność" cierpi na bezsilność, a nie wyrzeka się przemocy. Trzeba wypracować nowe środki walki. Inne niż terror, który stosuje lub którym grozi władza. Inne niż bezsiła, z której czyni się przedmiot dumy. Nie wystarczą świadome celów, lecz bezbronne masy stosujące na wprost oddziałów ZOMO. W czasie demonstracji ulicznych ostatniego roku tłum pokojowych demonstrantów czekał właściwie na atak!. Jak długo można poddawać się tym próbom odwagi połączonej z masochizmem? 31 sierpnia 1982 roku na ulicach naszych miast była masa krytyczna, gotowa do choćby jednodniowej rewolty. Tam, gdzie atakowano, a nie czekano na atak - policja uciekała i musiała ściągać posiłki, by odzyskać stracone pozycje. Eksplozja następowała wszędzie tam, gdzie był detonator.

Tym detonatorem może być tylko kadrowa organizacja, sprawna i wyszkolona, dla której tłum demonstrantów stanowi choćby częściową osłonę. Jeśli społeczeństwo nie zacznie stosować taktyki ofensywnej, jeśli nie będziemy atakować władzy na jej terenie, to zginiemy, zaszczuja nas falą robionych na ślepo masowych rewizji i aresztowań.

Sądzę, że budowanie siły politycznej społeczeństwa musi objąć dziś cztery grupy zadań. Po pierwsze: wariantowe opracowywanie decyzji, by nie dać się zaskoczyć akcjami politycznymi, ani policyjnymi. Należy więc przewidywać ruch przeciwnika /patrz delegalizacja Związku/ i spontaniczne ruchy społeczeństwa /3 maja 1981 roku, strajk w Stoczni Gdańskiej po delegalizacji/ i mieć z góry przygotowaną na nie odpowiedź. Po drugie: należy skupić się na paraliżowaniu władzy przez penetrację aparatu przemocy i prowadzenie przeciw niemu działań obywatelskich - dywersji psychologicznej. Po trzecie: należy wypracować normalną i rezerwową sieć łączności wewnątrz każdej zorganizowanej grupy i w regionach. Po czwarte: należy po rocznej papierowej wojnie przystąpić do represjonowania kolaborantów, bo nie tak nie osła.

bia solidarności społeczeństwa poddanego przemocy jak bezkarność kanalii. Ale, uwaga: nie wolno mylić kolaborantów z okupantami. Musimy oczyścić z kanalii społeczeństwo, a nie władzę. Jaruzelski, Rakowski, Urban - to przeciwnicy polityczni. Ale Dobraczyński i Koźniowski czy prowokator polioji Sławomir Miasztowski to kolaboranci, bo wysługują się władzy, licząc na bezkarność. Inni liczą na anonimowość. Witold Mysyrowicz, autor plakatu "Z pnia narodowej zdrady" /na którym z drzewa Targowicy wyrastają jak gałęzie nazwiska Giedroycia, Najdera, Bujaka, Herlinga-Grudzińskiego, Chojeckiego, Piniora, Blumsztajna i ... uciekinierów: Rurarza i Spasowskiego/ nie podpisał swego dzieła. Mysyrowicz jest kolaborantem, podobnie jak jego poprzednik - twórca sloganu "AK - zapluty karzeł reakcji", chce naszym kosztem żyć wygodnie przy realnym socjaliźmie. Mówić o presji moralnej w stosunku do takich kanalii to czysta kpina. Tylko represje /jakie? - niech popracuje wyobraźnia .../ mogą wywrzeć na nich dobroczynny wpływ.

Jeśli władza chce, by społeczeństwo patriotycznie zjednoczyło się w kłamstwie, my musimy siłą polaryzować je w imię solidarności w prawdzie.

Posierpniową szkołę mamy już za sobą: demokracja musi być na tyle silna, by w momencie zagrożenia bronić się, a nie dopiero myśleć i dyskutować, jak się bronić.

ORGANIZACJA

Trzeba postawić sobie jasno pytanie: w czyjej strukturze walczymy? Czechosłowacja 68 była próbą zdobycia wolności od wewnątrz, od środka partii komunistycznej. Polska 80-81 była próbą zdobycia wolności razem z partią komunistyczną: "Solidarność" była niezależna i samorządna w granicach kompromisu-paradoksu, grała rolę partnerską wobec kogoś, kto miał przyznać mu przez konstytucję rolę kierowniczą. Po tych doświadczeniach nie mamy innej drogi niż droga budowy własnej struktury organizacyjnej, która ma szansę z czasem, dzięki prężności, wartości, innowacyjności i inteligencji tworzących ją ludzi, zwalczyć strukturę utworzoną przez komunistów.

Powszechne jest przekonanie /będące nieświadomą akceptacją modelu rewolucji totalitarnej/, że system wali się w wyniku akt woli społeczeństwa, a nie na skutek procesów rozkładu władzy i budowy nowych struktur organizacyjnych. Strategia strajku generalnego była wynikiem wiary społeczeństwa w taki właśnie akt woli. Powód, dla którego wielu działaczy dużych zakładów pracy parło do strajku generalnego, nie wynikał z siły ich organizacji a ze słabości. Strajk generalny stał się odpowiednikiem zawołania: "Kupą mości panowie, kupą!". Strajk generalny ma sens tylko jako zgaszenie światła by władza mogła zniknąć i pojawiła się nowa. Jeśli jednak nie wierzymy w żaden frakcyjny wariant przemian w Polsce i sami nie zamierzamy przejmować władzy powierniczej, strajk generalny traci sens. Nie jest gaszeniem światła, by komuna mogła zniknąć. Jest zamykaniem oczu, by jej nie widzieć.

Faktycznie strategia ta upadła 13 grudnia 1981, ale trzeba było 10 listopada 82, żeby społeczeństwo zrozumiało, że pokojowa epoka "Solidarności" naprawdę się skończyła. Jest czas wojny z komunizmem i koncepcja odstraszenia może działać tylko wtedy, gdy możemy przewyższyć przeciwnika siłą i organizacją.

W przeszłości wielokrotnie wypowiadałem się za budowaniem

podwójnych struktur. Za tym, by koncepcja jawności działania - która okazała się wbrew temu, co sądziłem, najskuteczniejszym środkiem upodmiotowienia społeczeństwa - nie skazała nas na łaskę i niełaskę władz. Myląc się co do preferencji, nie myliłem się - niestety - co do niebezpieczeństwa tak obranej drogi. Działalność demonstracyjnie jawna doprowadziła do powstania NSZZ "Solidarność". Ograniczenie się wyłącznie do tej formuły spowodowało taki, a nie inny właśnie jej upadek, oczywiście upadek jako ruchu masowego. Jeśli "Solidarność" ma przetrwać, musimy jasno sobie powiedzieć, że przekształcamy ją w kadrową organizację niepodległościową "Solidarność", bo masowej konspiracji i to o strukturze opartej o miejsce pracy swoich członków nikt jeszcze nie założył. A po to, by żyła w społeczeństwie solidarność z "Solidarnością", nie trzeba organizacji.

Co dzieli tak nakreślone zadania od wcielenia w życie? Nie wiara wyrosła z wieloletniej indokrynacji determinizmem społecznym, który procesom historycznym czytelny z perspektywy lat odbiera ludzki charakter, charakter sumy jednostkowych decyzji. Tymczasem rewolucja 1980 roku nie była inicjatywą milionów, tylko inicjatywą jednostek i niewielkich organizacji, z którymi miliony się zidentyfikowały. Fala rewolucyjna opadła tak szybko, bo w warunkach zagrożenia kadry rewolucji okazały się za słabe. Przed Sierpniem głównym problemem opozycji było to, że nieliczne jej grupy nie miały szerokich kontaktów z masami robotników. Dziś działacze podziemia mają te kontakty, jest doskonała transmisja między podziemiem a społeczeństwem. Są nas tysiące, ale nie setki tysięcy, pogodzenie się z tą nową skalą ruchu i jej organizacyjnymi konsekwencjami jest kwestią doświadczenia.

Barierę kadrową możemy przekroczyć dopiero stopniowo, docierając się, sprowadzając organizacje i ludzi, mówił w "Bilansie roku" /TM Nr 36/ Zbyszek Bujak. I choć musimy się spieszyć, bo SB wciąż pruje konspirację, którą tkamy, pewnych doświadczeń przeskoczyć się nie da. Po roku wojny pewien działacz /ze środowiska uważanego tradycyjnie za elitę robotniczą/ skarżył się: "Ale nas jest tak mało do tej roboty, popatrz, zaledwie pięć osób!". Rzeczywiście, w kategoriach wschodnich pięciu ludzi to tyle, co nic. Ale w kategoriach zachodniej kultury pracy, to przecież bardzo dużo, szczególnie, jeżeli tych pięciu ludzi ma kontakty z kilkuset, a często kilku tysiącami kolegów.

Z konfrontacji szesnastu miesięcy "Solidarności" i roku wojny o nią wyłania się prosty wniosek kadrowy. Można liczyć, przy sporych zdolnościach społeczeństwa do improwizacji, na szybkie samoorganizowanie się w oparciu o działaczy liniowych. Ci, jak to na wojnie, wymagają krótkiego instruktażu i albo walczą ucząc się ostrożności, albo wpadają jak brawurowy żołnierz, który wystawia głowę z okopu nie wierząc, że naprawdę strzelają. Ale oficerowie sztabowi nie uczą się prowadzenia walki z dnia na dzień, ani z roku na rok. I oni właśnie są barierą kadrową każdej z walczących stron. Czy jesteśmy zatem skazani na ruch, którym będą kierować zawodowi rewolucjoniści? Postawmy pytanie inaczej. Czy w sytuacjach silnych stressów i olbrzymich trudności, w tej wysokogórskiej wspinaczce, do której zmuszą nas sytuacje, stać nas na wyrwykowo, spontanicznie, amatorsko organizowany "długi marsz"?

Powtórzmy raz jeszcze: oficerów liniowych wyłania i wychowuje każdy strajk, akcja protestacyjna, demonstracja uliczna. Oficerów sztabowych - autentycznych polityków - elitę przywódczą narodu - kształtuje dopiero czas.

Front odmowy jest na razie jednym z naszych największych sukcesów propagandowych. Ale już dziś musimy być przygotowani organizacyjnie do akcji rewindykacyjnych. Czerwony już wrócił do metod kupowania ludzi przywilejami, przydziałami, lepszymi kartkami. Nie trzeba wielu kupić, żeby wszystkich skłócić. To, że "Solidarność" nie przetrwa jako związek zawodowy nie znaczy, by nie miała prowadzić nadal TAKŻE akcji typu związkowego.

Komuniści potraktowali jako wskazówkę dla siebie hasło "Nie ma chleba bez wolności". Dziś najlepszy dla nich jest niedostatek i jednego i drugiego. Skoro nie mogą dać nam wolności, bo ograniczyłaby ich władzę, to nie mogą dać też dość chleba, gdyż dobrobyt pozwala masom oderwać się od łagiernej rzeczywistości. Wolność gospodarcza powoduje i wymaga wolności politycznej. Słowem, programem komunistów na dziś jest: bez chleba i bez wolności. Ten program atakować należy akcjami o charakterze związkowym, opierając się na istniejących przepisach. Nikt nie wierzy dziś w Polsce w sens walki o praworządność jako cel sam w sobie. Dzięki konkretnym akcjom rewindykacyjnym komunistyczne rządy bezprawia będą jednak wciąż wpadać na rąfę "socjalistycznej praworządności". A tu obowiązuje zasada: im gorzej, tym lepiej. Im trudniej komunistom łamać prawa obywatelskie, tym łatwiej nam żyć i działać.

Co jest główną przeszkodą w samoorganizowaniu się społeczeństwa, w realizacji konkretnych celów, w jednostkowej czy grupowej samoobronie? Odpowiedź jest prosta: jesteśmy zsowietyzowani bardziej, niż to sobie uświadamiamy na codzień. Robotnik rozkłada ręce, gdy pęknie mu najmniejsza śrubka w maszynie i krzyczy: - Majster, stoję z robotą! Rolnik przepija sumy, za które mógłby, jeśli nie wyzwolić się ekonomicznie, to zwiększyć swoją niezależność od państwa. To wszystko są składniki bolszewii, która nas zżera. Na czym polega sowietyzacja? Bolszewizm był owocem beziłki narodu rosyjskiego. Miernota i rabstwo uzyskiwało w Rosji od wieków rangi, przywileje, władzę. Sowietyzm tę beziłkę niesie po świecie jako Dobrą Nowinę. Dlatego właśnie diabelską sztuczką jest nurt tłumaczenia wszystkiego w Polsce wszechwładnym systemem. Trzeba się zdecydować. Albo jesteśmy dziedzicami cywilizacji chrześcijańskiej i zachodniej kultury, albo jesteśmy maruderami bolszewizmu na pograniczu Azji i Europy. Jeśli mamy niezbywalne prawa osoby ludzkiej, to bierzmy je razem z obywatelkami, albo milcząc i pokornie zgódźmy się na komunistyczną "normalkę".

W "Solidarności" w wyniku obciążenia dziedzicznego bolszewiasty powstały na najniższym i średnim szczeblu struktury do rządzenia i reprezentowania, a nie do działania. Dlatego po wybuchu dziwnej polskiej wojny i po naszej stronie widzi się niemal wyłącznie generałów, pułkowników, kapitanów, a nie ma kaprali i sierżantów. Ile już razy słyszałem od członków Komisji Zakładowych "Solidarności": Ja właściwie nie powinienem działać, bo jestem namierzony". Dalej już wiadomo - zaczyna się komunistyczne szukanie "rąk do pracy". Tymczasem w każdej pracy organizacyjnej jest część podejmowania decyzji i część roboty wykonawczej: kilometrogodzin biegania, ustalania, kontaktowania, pisanie, kupowanie, pakowanie, numerowanie. Na KAŻDYM szczeblu organizacji współistnieją te dwa czynniki. Bolszewia polega na tym, że wszystkie szczeble powyżej robotnika /w domyśle jest nim zawsze pracownik przy taśmie/ chcą tylko podejmować decyzje i koordynować. Konkretna praca zawsze spychana jest w dół, konkretna decyzja zawsze spychana jest w górę. W ten sposób pod koniec piramida urzędników nie mogących

się ze sobą dogadać obciąża pracą pojedynczego robotnika. Taka struktura organizacyjna pozbawia poszczególne odcinki pracy elementów twórczych i rzemieślniczych. Między robotnikiem a dyrektorem jest jeszcze potrzebny majster. Jego szczebel jest kluczowy: to on powoduje, że ten, co umie zrobić dobrze i na czas, robi to, co ktoś inny wymyślił dobrze i na czas. Podziemie bez majstrów, bez tych, którzy potrafią pokazać własnymi rękami, jak można i trzeba coś zrobić, nigdy nie będzie dobrze funkcjonować. Konspiracyjna organizacja, która składa się z robotli i dyrektorów, z subiektów i menedżerów nigdy nie pokona komunistów. Musimy wbrew bolszewii w nas samych odbudować ethos majstra i kupca. Bowiem istotą zsowieityzowanej organizacji jest to, że nie pracuje się w niej z ludźmi, a pracuje się ludźmi.

Małe firmy mogą prowadzić wielkie przedsięwzięcia: pięciu kupców zrobi więcej niż stu subiektów, czekających na instrukcje, jak świadczyć usługi dla ludności. W zsowieityzowanej organizacji zachwiane są proporcje służb pomocniczych i technicznych w stosunku do "frontu". Rezultat jest zawsze ten sam: brak ludzi na linii i ludzi w służbach pomocniczych. Niemal wszyscy zarządzają i koordynują zamiast także - po prostu pracować. W podziemnej organizacji powtórzenie takiego modelu powoduje, że roi się od pośredników patriotycznych, a Ojczyzna wciąż jest w potrzebie. Bowiem homo sovieticus tworzy drugi szczebel struktury organizacyjnej, zanim pierwszy zacznie w ogóle pracować. Struktura biurokratyczna jest zbudowana na wyróst i wciąż szuka rąk do pracy - ma tylko ręce do rządzenia. Zdarza się też, że skrojona na miarę umiera na rutynę, chorobę każdej zbyt pasywnie i stagnacyjnie nastawionej organizacji. Organizacja to ludzie. Jeśli nie mają się marnować, muszą działać w strukturze, która się rozwija, pęcznieje: jedno wykonane zadanie prowokuje do postawienia sobie nowego.

Można bez trudu dostrzec następującą prawidłowość: im gorzej zorganizowana grupa, im mniej ma ludzi energicznych, tym więcej ideologicznych dąsów, pretensji do błędnej taktyki centrum, które nie umie wykorzystać ducha oporu społeczeństwa itd, itd. Często na czele tych grup stoją ludzie wielkiego umysłu, dopóki jednak nie umieją skupić grona współpracowników gotowych realizować ich idee i szukają winnych wokół - ich racje polityczne wiszą w próżni. By odpowiednie słowo padło w odpowiednim miejscu i czasie, potrzebna już jest organizacja. Bowiem o ile w ciągu ubiegłego roku TKK błędnie odpowiadała na pytanie: JAK?, wzywając do ugody i porozumienia, zamiast do walki, "Solidarność" jako całość nie miała kadr, które wiedziałyby, CO robić i CO organizować na szczeblu zakładu. Wszyscy czekali z myśleniem i organizowaniem się na wytyczne, a im bardziej nie radzili sobie z konkretnymi pracami w swoim środowisku, tym bardziej szukali winy w centrali. Czekano na słowa, gesty, programy...

Gdzieś, w sferze konfrontacji dwóch kultur: bizantyńsko-marksistowskiej i protestancko-demokratycznej problem wyglądać może następująco: Kto z nas - władza czy społeczeństwo ulegnie prędzej sowieityzacji? Kogo z nas prędzej osiągnie ta zbitka bejsiły, prymitywizmu, bezhołwia organizacyjnego i braku jakiegokolwiek odpowiedzialności?

CENTRUM

Poprzedni okres, 1976-80, był czasem budzenia świadomości

społecznej i narodowej. Teraz trzeba budować dojrzałość polityczną, to znaczy wyłonić w działaniu kadrę polityków, mających poparcie społeczeństwa i umiejących podejmować zrozumiałe dla mas decyzje bez wiecowania i referendów.

Przeciwstawianie hasła budowy struktur Społeczeństwa Podziemnego hasła utworzenia Państwa Podziemnego to przykład liicytacji możliwej tylko w sferze programowej - tracącej sens w myśleniu o organizacji. Czy państwo może istnieć bez zorganizowanego społeczeństwa? Czy państwo nie jest formą zorganizowania społeczeństwa, formą, która musi wyrastać z innych organizacji? Obecnemu centrum - Tymczasowej Komisji Krajowej nie dlatego nie udało się sprawnie kierować ruchem, że nie przejęła ona funkcji Państwa Podziemnego, a dlatego, że samo społeczeństwo jest za słabo zorganizowane. Dla społeczeństwa chcieć to znaczy móc. Społeczeństwo musi mierzyć siły na zamiary, jeśli nie ma ugrzęznąć w ugodzie i realizmie. Ale centrum podziemia ma obowiązek chcieć tylko tego, co zrobić może. Musi mierzyć zamiary podług sił, jeśli nie chce pozba-
wić się wszelkiego autorytetu.

Tym, którzy żądali, by TTK była "silnym centrum", trzeba zadać jedno pytanie: czym to centrum miało zarządzać? Ruinę pozostałą po rozbiściu "Solidarności" jako Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego? Jak zareagowały organizacje związkowe na atak 13 grudnia? Ileż słyszeliśmy relacji zaczy-
nających się od słów: "Poszliśmy pod siedzibę Regionu, żeby dowiedzieć się, co robić - a tam ZOMO ..."

Siła centrum ruchu demokratycznego tkwi w sprawnie zorganizowanym społeczeństwie, a nie w sprawnej administracji. Bez dobrze zorganizowanych małych i średnich struktur społecznych centrum może tylko panować, a nie rządzić. TTK popełniła ten właśnie błąd: zamiast panować - mówić JAK walczyć, próbowała rządzić - mówiła, CO robić. Autorytet centrum, które występuje w imieniu całego podziemia jest tym potrzebniejszy, że czeka nas czas reorganizowania się, przepoczwarczenia jako ruchu. Po minionym roku wiemy, z kim, przeciw komu i o co walczymy.

Na początku tej wojny, wskazując różnice między konspiracją polityczną a konspiracją ściśle wojskową ostatniej wojny napisałem, że w tej drugiej mianowano dowódców określonych szczebli, a ci prowadzili werbunek członków do organizacji. Było to uproszczenie, które dzieliłem z wieloma piszącymi o konspiracji. Najlepsze oddziały AK powstały nie w wyniku werbunku a scalenia mniejszych, już działających, często nawet już rozbitych aresztowaniami ugrupowań. Zespół z prawdziwego zdarzenia można zbudować dopiero z molekuł organizacyjnych, wypróbowanych w działaniu. Ta zasada obejmuje całe podziemie od dołu aż po centrum: z jego biurem organizacyjnym, systemem łączności, grupami doradców. Organizacja to nie schematy i idee. To ludzie i jeszcze raz ludzie. Ludzie umiejący organizować pracę innych.

Koncepcja Komitetu Polskiego na Zachodzie, który reprezentowałby krajowe aspiracje niepodległościowe nie jest i nie była utopijna sama w sobie. Jeśli Biuro Koordynacyjne "S" jest niezdolne do działań politycznych - jak pisze "Niepodległość" - to dzieje się tak dlatego, że nie znaleźli się ludzie gotowi ZGODNIE PODJĄĆ WYZWANIE POLITYCZNE. Koncepcja, którą proponuje "Niepodległość", by tworzyć w podziemiu partie polityczne, by partie te skryształizowały swoje programy, następnie się skonfederowały, a-na końcu ewentualnie zaprosiły "Soli-

oy dodała im auctorytetu - to dopiero fantasmagoria. Jeśli nie dochowaliśmy się jeszcze kadr dla nielicznych, oczywistych solidarnych działań, nie wierzę, by starczyło ich do sensownych akcji partykularnych. To będzie pluralizm dezorganizacji, a nie organizacji podziemia.

Z dyskusji tej wyłania się polski upiór: żeby dobrze rządzić trzeba mieć prawdziwy silny rząd, bo społeczeństwo jest słabe. Jest inaczej: trzeba wzmocnić społeczeństwo, podnosząc jego kulturę polityczną, kulturę pracy i kulturę organizacji, by kierowanie nim przez podziemną centralę nie było groteską.

Łatwo jest żądać /oczywiście nie od siebie, a od władz "Solidarności"/ utworzenia grup specjalnych, które odpowiedzą na siłę siłą, sądów społecznych, które wymierzą choćby symboliczne kary konfidentom, prowokatorom i zdrajcom. Trudniej wziąć się samemu do zorganizowania może nie samych grup, może nie sądów, ale choćby któregoś z ich serwisów: technicznego, transportowego, zaopatrzenia, legalizacji, medycznego czy archiwum danych o kolaborantach.

TKK nie panuje nad wydarzeniami ... Ależ i rząd nad nimi nie panuje. Wszystkie wydarzenia w PRL, które spowodowały, że ich miesiące piszemy z dużej litery, okazały się niesterowalne. Bo to była żywa historia, a nie realizacja programów politycznych według z góry założonego planu. Jeśli jednak przyniosły one zwycięstwo lub klęskę owocującą zwycięstwem, to tylko wtedy, gdy w trakcie wydarzeń lub na ich skutek powstały instytucje niezależnego życia politycznego.

Wielu wypomina Bujakowi, że powiedział, iż może stanąć na czele strajku generalnego, gdy ten już wybuchnie - bo taki strajk to dzisiaj powstanie. Ci, co liczyli czas do wiosny lub jesieni widzą już chyba dzisiaj, że niezależnie od błędów TKK zmiany, które w Polsce zachodzą, mają charakter procesowy.

Czy wszystko, co napisałem jest minimalizowaniem znaczenia centrum ruchu podziemnego? Skądże! Powtarzam raz jeszcze: podział na plan i realizację, program i działanie - to tylko dziedzictwo bolszewii. Nie słowa programu pchały przez wieki ludzi do walki, a fakt, że program ten potrafił skupić wokół siebie grupę ludzi zdolnych do działania i umiejących przyciągnąć do niego innych. Po to jednak, by centrum skutecznie kierowało ruchem niepodległościowym nie może już w pewnym momencie widzieć swego działania wyłącznie jako społecznej działalności, w której jest się gotowym szlachetnie ginąć lub gnić w więzieniu, by dać świadectwo prawdzie. Niejedna prawda już przegrała walkę ze złem i kłamstwem. Trzeba przy całej determinacji w obronie zasad moralnych widzieć siebie jako gracza politycznego i sztabowca rewolucji. Nie darmo komuniści, chcąc skompromitować opozycjonistów mówią o nich "cyniczni gracze polityczni" czy piszą o "sztabie kontrrewolucji". To wyraz rzeczywistych lęków połączony z projekcją własnego ja. Przecież władza to rzeczywiście cyniczni gracze polityczni i sztab kontrrewolucji, dlatego nie moralnego oblicza naszego ruchu się boją, a profesjonalnej gry.

Każdy polityk, a nie tylko prezydent USA musi chodzić wszędzie ze swoją skrzynką z guziczkami i w momencie każdej rozmowy, każdego szantażu politycznego móc odpowiedzieć, uderzeniem na uderzenie. Społecznik w razie czego powie, że padł zdradziecko trafiony w plecy. Ale polityk z prawdziwego zdarzenia mówi: nie pozwolę, żeby mnie zaatakowano nożem w ple-

oy. Taki atak jest możliwy tylko wobec kogoś, kto z góry pogodził się z tym, że można go oszukać i kompletnie zaskoczyć. Gdybyśmy szli śladem doświadczeń lat 76-80, oznaczałoby to, że nie skorzystaliśmy z lekcji 13-go grudnia. Ta lekcja musi spowodować jakieś radykalne cięcie, jakiś przełom w naszej świadomości politycznej. Naszą elitę przywódczą od polityków sensu strikte dzieli to, że z zagrożenia, które widzieli, nie wyciągnęli wniosków operacyjnych. Nie potrafili zinstrumentalizować rozwiązania tej sytuacji. Walka polityczna między społeczeństwem a władzą nie może polegać na tym, że społeczeństwo jest obiektem represji, zaś aparat przemocy jest wyłącznie przedmiotem łagodnej perswazji.

Żyje w nas bardzo silna tradycja, by nie rozwiązywać problemów, które z dnia na dzień odkładamy, bo operacyjnie nie umiemy im podołać, grupować w całe bohaterские alternatywy. W ten sposób to, co jest organizacją oporu, trwania, walki zastępuje się straceńczym zrywem. Można i trzeba mierzyć opór, trwanie i walkę siłą tych spektakularnych wybuchów, ale musi wyprzedzać je rzetelna sztabowa praca.

GRA WOJENNA

Jedyna prawdziwa, inteligentna gra polityczna, którą prowadzi władza, to walka o własny stódek, czyli prawo zarządzania protektoratem. W każdej innej grze partia okazała się bezsilna. Stworzywszy - raz na zawsze! - w latach pięćdziesiątych "zręby socjalizmu" nie potrafiła już od tej pory wyprowadzić Polski z kryzysu. I tym lepiej dla niej: właśnie kryzys - utrzymywanie niedowładku ekonomicznego na poziomie krytycznym - okazał się z perspektywy lat szansą łatwiejszego rządzenia krajem. Co nie znaczy, że system nie miałby wykorzystać i prosperity. Niemniej, w historii PRL każde załamanie gospodarcze połączone z nadzieją zmian na lepsze osłabiało władzę komunistów. Analizując te przemiany i skutki jako STRUKTURĘ RZECZYWISTOŚCI TOTALITARNEJ i wiedząc, że celem komunistów jest władza i tylko władza widzimy, że jedynym realistycznym programem jest walka na zewnątrz tej struktury.

Roboczy schemat obalenia ustroju komunistycznego opowiedzieć może każdy. Dla jednych upadek zaczyna się od erozji aparatu przemocy, dla drugich od konfliktu europejskiego lub światowego. W każdym razie "Solidarność" była dla nas parę lat temu trudniej wyobrażalna, niż jest nim dla nas dziś upadek komunizmu. Żadna konstrukcja intelektualna nie zmieni jednak faktu, że programy obalenia systemu są tylko roboczymi hipotezami. Nie ma innej drogi sprawdzenia ich niż działanie. Wiąże się to z ryzykiem, ryzykiem działalności politycznej. Nie podejmując go także ryzykujemy: że nie będziemy warci być narodem, jak to już kiedyś powiedział nam Napoleon.

Sytuacja dzisiejsza jest zbliżona do koniunktury w czasie powstania listopadowego. Szansy wybitcia się na niepodległość nie da kunktatorstwo, poszukiwanie kompromisu w rokowaniach, próby ugody społecznej z komunizmem. Tak jak w powstaniu listopadowym szansę daje tylko wojna przewencyjna. Oczekiwanie na jakieś nowe kroki władz, które nie ukrywają przecież, że chcą rzucić społeczeństwo na kolana, grozi całkowitym unicestwieniem "Solidarności". Druga strona nie jest wszechmocna, ale posiada ludzi, czas, pieniądze i rutynę sztabową. Rozwiązanie z 13 grudnia 81 może się okazać kaftanem bezpieczeństwa, który władza będzie gotowa zawsze nakładać w sytuacji "wyż-

szej konieczności": przed rozpoczęciem sowieckiego blitzkriegu na Zachodzie, czy wysyłce naszych wojsk do Afganistanu. Podziemie, tworząc mechanizmy obronne przeciw państwowemu terrorowi dokonuje wyboru między martyrologią i polityką. Wiemy już, z kim siedliśmy w Gdańsku do stołu. Siedliśmy z bandytami politycznymi, którzy gotowi są wyciągnąć nóż zza cholewy, gdy tylko pozwala na to sytuacja. Tymczasem w sposobie myślenia działaczy "Solidarności" tkwił i często tkwi do dziś zupełnie inny zaczął intelektualny niż ten, który jest niezbędny politykowi. Polityk z prawdziwego zdarzenia robi bilans sił i środków obu stron i prowadzi grę wojenną.

Ekstrema Jaruzelskiego składa się z ludzi wykorzenionych ze społeczeństwa, jest przez to tym żałośniejsza, ale i tym groźniejsza. Jedną grupą wykorzenionych jest Zjednoczenie Patriotyczne "Grunwald", czyli zaścianek stalinowsko-antysemicki. Drugą grupą wykorzenionych są "Żydzi" i "liberałowie" - Urban, Toeplitz, Passent, Sandauer i Koźniewski, Kałużyński czy Jan Szczepański. Nikt z nich nie ma już nic wspólnego ani z polskością, ani z liberalizmem, ani z żydostwem, tym lepiej więc grają rolę nowych Borejszów. Wśród gówna i krwi - tych niezbędnych atrybutów terroru, zawsze pojawiają się postacie walczących o "liberalizm mimo wszystko". Byłe uniknąć losu ofiary i kata. Różański był jednak bratem Borejszy.

Mając po drugiej stronie cynicznych i inteligentnych graczy, nie można im przeciwstawić jakiegś pozytywistycznej koncepcji pracy u podstaw o charakterze zbliżonym do lat 76-80. Komuniści nauczyli się już stopniowania terroru. Najpierw grozili nam bronią. Teraz grożą nam już tylko więzieniem lub wyrokiem w zawieszeniu. Nie są odważni. Ale mają świetnie wypracowaną technikę szantażu. W tej dziedzinie Jaruzelski ma spore osiągnięcia. Na przykład stworzył wrażenie, że dogadał się z Kościołem. I w ciszy przygotował się do akcji KRUK: ataku na niepokornych księży.

Spróbujmy określić, co było naszą największą słabością w wojnie polsko-jaruzelskiej. Myślę, że brak myślenia wariantowego. W grze z czerwonym, jak w każdej grze, musimy przewidywać sytuację na parę ruchów naprzód. Tymczasem "Solidarność" parła do szachowania króla, nie licząc się z możliwymi ruchami drugiej strony. Podstawianie pionka pod naszego konia nie znaczy, że warto bić go tracąc wieżę i samemu narażając się na zaszachowanie. Musimy być bardziej ofensywni. Druga strona idzie na ruchy do przodu, na pozory liberalizacji, gdy liczy, że pokrzyżuje tym nasze plany.

Gra polityczna związana z wizytą Jana Pawła II w Polsce wymaga - dla przykładu - przeanalizowania przez nas czterech wariantów. Papież przyjeżdża do Polski na naszych warunkach - postępujemy znowu tak jak wolni ludzie w wolnym kraju. Papież pielgrzymuje na warunkach czerwonych. Papież nie przyjeżdża do Polski na naszych warunkach: władze wycofują się w ostatniej chwili. Papież nie przyjeżdża na warunkach czerwonych - odrzuca wronie ramy wizyty. Każdy z tych wariantów, z wyjątkiem drugiego, jest dla nas do wygrania, ale pod warunkiem, że nie postawimy tylko na jeden i że rozważymy organizacyjnie konsekwencje każdego z nich. Kościół Polski - trzeba to powiedzieć wreszcie głośno i autorytatywnie, nie ma w tej sprawie żadnego pola manewru, żadnych szans na społeczną mediację. Może tylko ustępować czerwonemu, czyli pacyfikować własne społeczeństwo za cenę wizyty lub trwać z nim we wszystkich odruchach buntu, są one bo-

wiem tym samym suwerennym naszym prawem, co prawo Jana Pawła II do Pielgrzymki Jasnogórskiej. Jeżeli będziemy nasilać do czasu przyjazdu Papieża demonstracje naszej woli niezależności, komunistom pozostanie tylko dopuścić do wizyty na naszych warunkach lub nie dopuścić - także na naszych warunkach. W każdym z tych wariantów społeczeństwo /i Kościół .../ zachowają swą podmiotowość. Nie powinniśmy więc czekać, JAK władza zaszantażuje nas wizytą Papieża, lecz atakować. W niczyim interesie nie leży, by kraj, do którego Papież przybywa, został spacyfikowany, zanim ślepiec zarządzający protektoratem przywita Ojca Świętego na lotnisku. Cud przebudzenia narodu drugi raz się nie zdarzy, po prostu dlatego, że naród już nie śpi. W planach władz ceną wizyty Papieża ma być uspienie nas, "by nie zakłócać religijnego charakteru patriotycznych manifestacji". Zanim znów milionami wylegniemy na ulice ze znakami "Solidarności" - i niech wtedy spóbuja nas tknąć! - musimy to publicznie i władzom i Prymasowi Glempowi zapowiedzieć. Trzeba też zadać publicznie - jakby nie było ono bolesne - pytanie: czy dla Sowietów nie jest najlepszym interesem politycznym zabicie Papieża w Polsce i rękami Polaka, skoro nie udał się spisek bułgarsko-tureckich podwykonawców? Im bardziej publiczne będzie ostrzeżenie przed długimi rękami Starszego Brata, tym większa szansa, że nie dojdzie do tej tragedii i hańby /gorszącym się w tym miejscu przypominam ubecki napad na polską ambasadę w Bernie, dokonany rzekomo przez terrorystów z "Solidarności"/.

Musimy tak prowadzić grę wojenną, by przy każdej próbie walki z podziemiem stwarzać władzy tylko gorsze wyjścia. Ci, którzy chcą, by TTK postawiła przed społeczeństwem cele walki i od tego każdorazowo uzależniają swój akces do ruchu zapominają, że każdy cel polityczny wymaga następnie instrumentacji. Programy czy decyzje centrum nie spowodują skutków, na które czekamy bez określonych językiem operacyjnym środków realizacji. A te przecież nie mogą być jawne. Dlatego sądzę, że centrum powinno firmować działania lub informować o działaniach, które miały miejsce, a nie - wzorem komunistów .. apelować do - i o -.

Czym innym jest dawanie świadectwa - zajmowanie się polityką jako działalnością, nawet - misją społeczną, czym innym zaś jest polityka jako gra. Jest różnica między społecznikiem gotowym nadstawić głowy dla dobrej sprawy i pokazywać ją pobitą pałkami jako dowód bezprawia a politykiem, który wie, że mieści się to w regułach gry z barbarzyńcą, ale celem jego jest nie dać się złapać na błędzie, nie dać się oszukać w grze. Nie żalmy się więc, że rząd postępuje zgodnie z prawami Machiavellego, tylko wykorzystujmy naszą wiedzę o makiawelizmie komunistów i uczmy się mu przeciwdziałać. Nie znaczy to, żeśmy mieli rezygnować ze zobowiązań moralnych, ale stać nas już na świadomość, że nie uciekniemy przed Szekspirem. A Szekspir umarłby z głodu, gdyby problemy władzy, ambicji i chłodnej kalkulacji interesów stron biorących udział w grze mogły być wytarte gumką przez nasze czyste intencje. Romantyczny w polityce może być tylko wybór wyjściowy lub ostateczny. We wszystkich innych musimy się kierować zimnym realizmem.

Możemy gorąco wierzyć, że komunizm upadnie, bo upaść musi. Ale musimy udowodnić to na chłodno naszym działaniem.

Maciej Poleski